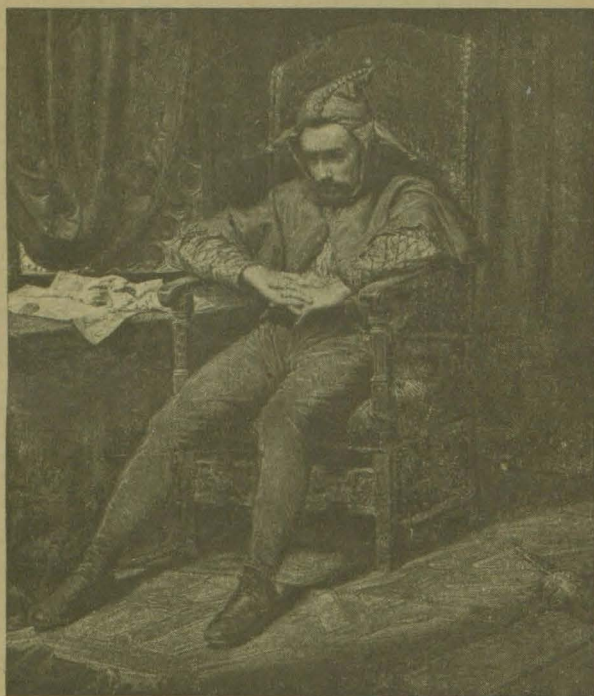


TEKA STAŃCZYKA

ZESZYT I.

1929



ANTONI ŁUNIEWSKI

GŁÓWNA PRZYCZYNA
WEWNĘTRZNEJ SŁABOŚCI
PAŃSTWA POLSKIEGO

T E K A S T A Ń C Z Y K A

ANTONI ŁUNIEWSKI

GŁÓWNA PRZYCZYNA
WEWNĘTRZNEJ SŁABOŚCI
PAŃSTWA POLSKIEGO

W A R S Z A W A — 1 9 2 9



Przejawy życia współczesnego, płynącego w nader szybkim tempie, wymagają gruntownego oświecenia. Ponieważ łamy prasy codziennej, zajęte zagadnieniami bieżącej chwili, nie mogą poświęcić dosyć miejsca na głębsze i dłuższe studia, postanowiliśmy, licząc na poparcie naszych Szanownych Czytelników, przystąpić do wydawania „Teki Stańczyka”, która postawiła sobie za zadanie wypełnić tę lukę, i dać swym Czytelnikom w miesięcznych odstępach czasu najbardziej aktualne prace w dziedzinach politycznej, społecznej i gospodarczej.

Wydawnictwo
„TEKI STAŃCZYKA”
w Warszawie

Drukarnia Mazowiecka, Warszawa, Szpitalna 1. Tel. 49-04

W5102/6

Motto: Ridendo castiga mores.

Już blisko dwadzieścia wieków mija od chwili, gdy Gwiazda betleemska zaświeciła nad światem, przynosząc ze sobą cywilizację chrześcijańską. Sześćdziesiąt przeszło pokoleń żyło i rozwijało się w kulturze i dorobku ludzkości, opartych na idei, filozofji i dogmatach wiary Chrystusa.

„Ex oriente lux”. Tak było wówczas. Dzisiaj wyrażenie: „ex oriente lux” należałoby przetłumaczyć na język polski: „wiatr od wschodu”. Polska to „przedmurze chrześcijaństwa” według historjografów, a „Chrystus narodów” według filozofji Towiańskiego nie jest, w mojem, skromnem zresztą, przekonaniu, ani jednym ani drugim, lecz, używając zupełnie nowego neologizmu w przeciwieństwie do endeckiej teorii o Judeopolonji — Polazją.

Doprawdy nikt nie może pokusić się o określenie bliższe, gdzie kończy się Europa, a zaczyna Azja, czy nad Wisłą, czy nad Bugiem, czy też nad Wartą i nie będę starał się nawet w przybliżeniu określić tej idealnej linii granicznej. Pragnę jedynie stwierdzić, że

na terenie właśnie naszej Ojczyzny odbywa się nieustanny, odwieczny bój i ścieranie się dwu potęg: światła i cienia, dobra i zła, cywilizacji i barbarzyństwa, Europy i Azji, Chrystusa i Antychrysta.

Jak zwykle w walce, tak i tutaj raz jedna, raz druga strona osiąga przewagę. Od roku 1918 t. j. od chwili powstania odnowionego Państwa Polskiego, które jest najdroższą nam Ojczyzną, na terytorjum o równą połowę mniejszem niż przed rokiem 1772, do dnia dzisiejszego, t. j. w ciągu ubiegłych 10-ciu lat — ma, z małemi przerwami, przewagę element ujemny, którego symptomami są: brak światła, panowanie zła, zwyczaje i obyczaje azjackie, jednym słowem „wiatr od wschodu”.

W tem dziesięcioleciu najwybitniejszą rolę, odegrali w naszej biednej Ojczyźnie „wschodni” ludzie. Wiadomo, że ludzie robią historję. Pragnąc jednak uniknąć wymieniania nazwisk — pozwolę sobie przyrównać bohaterów naszego opowiadania, do odmian wiatrów.

Postaram się w tej rozprawie udowodnić moją tezę, że ów „wiatr wschodni” przyjmujący, zależnie od swego chwilowego ciężaru gatunkowego postać bądź to, „zefiru”, bądź „tajfuna”, bądź też „halnego”,

jest właśnie przyczyną główną zawartej w tytule „wewnętrznej słabości Państwa Polskiego“.

I z góry zastrzec się muszę, że każdy z bohaterów niniejszego opowiadania, w mojem przekonaniu, odpowiada w całej pełni nazwie, t. zw. „człowieka o czystych rękach i co więcej człowieka, pełnego jak-najlepszych chęci służenia swojej Ojczyźnie.

Ale człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi. Trzymając się w ciągu ostatnich 10-ciu lat zdala od czynnej polityki — wyszedłszy z założenia, że wobec ukoronowania pewnych prac przygotowawczych, powstaniem Państwa Polskiego, udział mój w czynnej polityce jest zbędny, wycofałem się, że tak powiem, z politycznego obiegu i zająłem wygodniejsze stanowisko obserwatora, który bierze po skórze i reagować na to nie może. Spodziewałem się, że naród polski do organizacji i kierownictwa swego organizmu państwowego wyłoni czy powoła najlepsze, najgodniejsze i najdzielniejsze jednostki.

Po tych wyjaśnieniach żegnam się z Szanownym czytelnikiem i zabieram się do moich bohaterów.

Pierwszym z nich, człowiekiem opatrnościowym, był dziadek, prawdopodobnie dlatego powszechnie tak zwany, ponieważ własnych wnuków nie posiada.

Opatrnościowość naszego bohatera polega na

tem, że w chwili, gdy kucharki warszawskie raczyły przyjąć od pchającej się do domu soldateski niemieckiej, oręż bohaterskiej armji „pierwszego narodu na świecie“, — wszystkie stronnictwa polityczne, nawet słusznie tak zwana endecja, zdecydowały, że w podarowanej tak cudownie od Boga Ojczyźnie, jednak, wobec zdecydowanego zaniku obcych władz, ostatecznie, jakiemuś polazjacie ster rządów w ręce włożyć należy.

Ponieważ jednomysłność polazjaka jest jedną z najbardziej cenionych cnót narodowych zarówno w kraju, jak i zagranicą, a przytem strach ma wielkie oczy, wybór odnośny padł na przybyłego właśnie z niemieckiego Dziewogrodu na Mokotowską 50 — Komendanta. W tem miejscu muszę sumiennie hołd złożyć bohaterowi naszemu za jego niezmordowany trud całego prawie dotychczasowego żywota, ponoszony najbezinteresowniej w świecie, a tylko „pro patria“, polegający na nieustannem i niezmordowanem robieniu polazjatów z autochtonów, pracujących w przemyśle w charakterze robotników, wśród fantastycznych wprost przeciwnieństw wszelakiego rodzaju zarówno ze strony długoletniego okupanta, jak i partyjnych konkurencyjnych firm.

Bohater nasz urodził się na Dalekim Wschodzie

Polazji. Znana nam dobrze sylwetka. Pół nacjonal-rewolucjonisty, pół konfederaty barskiego, o wąsie sumiastym, srogiem spojrzeniu, krzaczastych brwiach, z mitrą w herbie, jest on w jednej połowie epigonem pokolenia powstańców 63 roku, a równocześnie w drugiej połowie — promotorem polazjackiego nacjonal-socjalizmu, który obecnie zamienił się, oczywiście, aby było trudniej zgadnąć, w „bebeizm”.

Rzecz prosta — Szanownego Czytelnika, któryby chciał źródłosłowa „bebeizm” szukać w języku francuskim, muszę wyprowadzić z błędu: kierunkowi temu w Polazji nietylko hołdują dzieci, ale mężczyźni dojrzały, niewiasty, no i starcy.

Bez bólu bowiem powstały w Polazji władze Państwowe. Dobry Bóg dał naszej Ojczyźnie niepodległości, a my ją łaskawie przyjęliśmy. Bez bólu ówczesna Rada Regencyjna za pośrednictwem waszego Stańczyka, oddała w ręce Naczelnika Państwa władzę nad Polazją. Bez bólu Komisarz Lubelski gabinetu imćp. Świeżyńskiego Józefa, niejaki p. Julian Zdanowski, powierzył sprawowanie rządów nad południową częścią nowego organizmu państwowego dawnemu speakerowi ujeżdżalni Sokoła w Krakowie, owitego później kaka-bluszczem, a obecnie marszałkowi Sejmu, p. Ignacowi Daszyńskiemu, za

pośrednictwem pewnego buchaltera, który poprosił komisarza o kilkodniowe posiedzenie, w kozie.

Bez bólu Polazja otrzymała pierwszy i pierwszorzędnny dar od Naczelnika Państwa w postaci rządu Moraczewskiego, którego minister buchalterji, skarbowiec Thugutt zrobił z „andrusów“ i „batiarów“ milicję ludową do prześladowania burżujów, a ta później tak chlubnie odznaczała się w bojach z bolszewikami, że niewątpliwie przejdzie do historii wraz z jej twórcą, który, że nie posiadał korony, ani w herbie, ani w sakiewce, więc nawet pożałował jej, t. j. korony — biednemu orłowi białemu, zwanemu podówczas w północnej części Warszawy — białą gęsią. (Weisse Gans).

Bez bólu zawieszono na zamku dawnych królów i magistracie Syreniego Grodu sztandar czerwony, który, jak wiadomo, ponad trony płynie i niesie gniew ludu.

Ponieważ mieszkańcy Polazji należą podobno do gatunku tworów bożych, zwanych niesłusznie „homo sapiens“, a wiadomo, że kolor czerwony jest źle widziany przez gatunki: „bos cornatus, bos primigenius“ i t. d., nic więc dziwnego, że sztandar czerwony podziwiany przez uliczną gawiedź, po upływie pew-

nego czasu, pod wpływem opadów atmosferycznych zbutwiał i zniszczył się, tak, że musiano go zastąpić innym, nowym, który był już dwukolorowym, jako, że w magazynach materiałów łokciowych chwilowo zabrakło czerwonego płótna z powodu nadmiernego popytu na ten towar i wytworzonego wskutek tego, nowopolskiego paska, który ze starym panem Chryzostmem, jak wiadomo, niema nic wspólnego.

Bez bólu również robiliśmy t. zw. wyprawę Kijowską, wycieczkę nieznaną od czasów Króla Stefana Batorego, która nam dała dużo rozgłosu zagranicą i posłużyła za praktyczną tanią reklamę, nietylę, t. zw. imperjalizmu polskiego, bowiem taki wogóle nie istnieje, ile idei federacyjnej Polski (proszę odróżniać od związków Państw, których wynalazcą jest nasz sąsiad od wschodu, t. zw. Eurazja).

Bez bólu wreszcie prawie urządzać potrafimy kilkudniowe majówki na ulicach Warszawy, czego nam, jakoby, stolice wszystkich sąsiednich państw, z wyjątkiem Moskwy, zazdroszcza.

Celem uniknięcia na przyszłość brania udziału w podobnych zabawach nieproszonych gości z pośród t. zw. mętów społecznych, ma być, jak słyszałem, znacznie powiększony park w Belwederze, gdzie drzewa zamiast kamienic będą używane jako naturalne

zasłony od zbłąkanych kulek, a uczestnicy zabaw będą się czuli jak u siebie w domu.

Te i inne, mówiąc językiem dnia dzisiejszego, „przeboje“ wschodnie naszego bohatera „antyfajdana“ — czynią go lekkim zefirem od wschodu, nie wyządzającym, ostatecznie, zbyt wielkiej krzywdy miejscowej ludności, przywiązanej do niedawna, dzięki wybitnym zasługom ówczesnego stronnictwa ND, do Eurazyjskiego panowania.

W tem miejscu, w myśl sentencji „ne misceantur sacra profanis“ zdejmuję z siebie na chwilę szaty Stańczyka i wiem je na kołku.

Dziwna zaiste ironja losu: człowiek, który poświęcił swe życie walce ze Wschodem, dzięki swemu pochodzeniu, środowisku, oraz pewnego rodzaju atawizmowi, przejawia często w swem postępowaniu umysłowość, metody działania, wreszcie formy zewnętrzne, odpowiadające ściśle określeniu człowieka wschodniego.

Człowiek ten, prawdziwie ukochany od Boga, który go, niejako swoim narzędziem uczynił, posiada olbrzymie dane zarówno natury wewnętrznej, jak i zewnętrznej, oraz niezmiernie korzystną dla siebie konjunkturę, wykorzystanie której lub niewykorzystanie zadecyduje i to, zdaniem mojem, w najbliższej

przyszłości o wielkości lub upadku wskrzeszonego Państwa Polskiego.

Ubierając się w tej chwili z powrotem w kubrak Stańczyka i ująwszy w dłoń kaduceusz wracam do mego tematu.

Stronnictwu ND. — tej organizacji, dzierżawiącej monopol patriotyzmu polskiego, poświęcić jestem zmuszony słów kilkoro.

Stronnictwo to, powstało, jak niektórzy błędnie twierdzą, pod wpływem wszechwładnej masonerji, a właściwie tylko członkowie tego stronnictwa mają zwyczaj przypisywania dość często, Bogu ducha nie winnej organizacji wolnych mularzy, wszelkich krzywd, wyrządzonych przez też ND. zarówno Ojczyźnie, jak i wrogom ND. (Coś w rodzaju siły wyższej „force majeure”).

Ścisłe badania naukowe, prowadzone z wielkim nakładem pracy, kapitału i czasu, wobec braku wiarygodnych źródeł nad sprawą powstania ND., doprowadzają mnie do konkretnego wniosku, że wbrew błędnemu twierdzeniu, o którym wyżej była mowa, ojcem duchownym ND. była nie masonerja, lecz całkiem rodzime elementy, które stały na tem popularnem stanowisku, że jednym z najkorzystniejszych monopolii państwowych, oczywiście, poza monopolem ty-

toniowym, jest monopol na patryjotyzm. I trafiły w sedno.

Lukratywny ten interes, który był obliczony, zdaje mi się, na okres czasu okupacji eurazyjskiej, zachwiał się w chwili wybuchu wojny światowej i, jak to bywa zwykle w podobnych wypadkach, że szczury uciekają z tonącego okrętu, — szczurza gromada monopolowa topniała z dnia na dzień.

Dobrze jest, jak jest, że ludzi, którzy ukończyli swój nędzny żywot, Bóg powołuje do swej chwały. Niestety, stronnictwa nie lubią umierać z powodu wielkich kosztów, połączonych z pogrzebem I-szej klasy, wskutek znanego zdzierstwa warszawskich firm karawaniarskich.

I tak ND. uparcie walczyła ze śmiercią, a ponieważ w jednym z pierwszych numerów „Dziennika Ustaw Rzpltej Polazjackiej, ukazało się demokratyczne rozporządzenie Ministra Spraw Wewnętrznych, dopuszczające zmianę nazwisk celem szybszej asymilacji w tym kierunku naszych elementów starokonnych, — ND. niewiele, jak zwykle, myśląc, zamiast położyć się wygodnie do metalowej trumny i kazać zawieźć albo „jedyneką” — po burżujsku na Powązki, albo wogóle na brudno, uważała za właściwe skorzystać z wyżej wzmiankowanego dość liberalnego,

a przeznaczonego, jak to już wyżej zaznaczyliśmy, dla mniejszości narodowej narodu polskiego, rozporządzenia i wystąpiła o zmianę nazwy ND. na Związek Ludowo-Narodowy.

Ponieważ w ciągu oznaczonego w rozporządzeniu „czasokresu” prekluzyjnego nie było żadnych sprzeciwów, nowe nazwisko utrzymało się, a osoba, niepomna tak niedawnej, zajadłej polemiki w obronie tezy niesamowystarczalności politycznej i gospodarczej t. zw. „priwislinskawo kraja”, a zmierzającej do udowodnienia konieczności pozostania w nierozzerwalnym związku z „jedynoj i niedielimoj Jewraziej” związku, uświęconym długoletnią tradycją, a znajdującym swój charakterystyczny wyraz w kawiorze i oczyszczonej (t. zw. hurrapatrjotyzm) — polemiki, prowadzonej przez szereg ND-publicystów z Ignacym Grabowskim na czele z jednej strony, a skromnym organem niepodległościowej konserwy „Nowem Ogniskiem” — z drugiej, osoba ta, imieniem „Związek” przyjęła nazwisko „Narodowy” z przydomkiem „Ludowo”, jako, że była pochodzenia szlacheckiego.

Wtedy zarówno w kraju, jak i zagranicą, zaczęto coraz częściej zwracać uwagę miarodajnych w stronnictwie NLudecji czynników, że połączenie ludowości z narodowością jest czemś analogicznem do połącze-

nia wody z ogniem, co wyraża się znakiem chemicznym $H_2O + X$ i grozi ulotnieniem się pod postacią *pary*.

W tem miejscu w nawiasie zaznaczyć muszę, że wogóle nie mówi się tutaj o parze amantów różnej płci, o której pisano w jednym z organów naszej brukowej prasy, zdaje się w ówczesnej dwugroszówce za groszy dwadzieścia (ażeby ludzi nie wprowadzać w błąd), a propos korzyści publicznej, wynikającej dla szerokich warstw ludności, nie wyłączając młodzieży akademickiej, z założenia Parku Skaryszewskiego, lecz o t. zw. parze wodnej, powstającej, jak wiadomo, przy łączeniu się wody z ogniem bez żadnych, oczywiście niebezpiecznych, niemiłych i gorszących skutków dla ognia, jak również dla wody.

Otóż wtedy, gdy życzliwe przestrogi zostały wreszcie wzięte pod uwagę i licząc się z czasami bardziej demokratycznymi, — o quae mutati ab illis, — NLudcja postarała się, mając odziedziczone po ancien-regimie przedpokojowe stosunki w ministerjach, polegające na stosowaniu wysoce sejmokratycznego systemu terroru przez ówczesnych t. zw. suwerenów (proszę nie mieszać z pojęciem o likierze znanej dobroci, firmy Baczewskiego, założonej w 1782 r. we Lwowie) — nad Bogu ducha winnymi ministrami i po-

mniejszymi funkcjonariuszami państwowymi, NLudecja, jak wyżej zaznaczyłem, przyjęła skromne, zgodnie z duchem czasu, nazwisko „Obóz Wielkiej Polski”, wyrzekając się przydomku i wraz z nim klejnotu szlacheckiego.

Jak sama nazwa „obóz” wskazuje, szczury z tonącego okrętu zamieniono na odważnych i bitnych żołnierzy. Dlaczego nie? — Została ich wprawdzie już tylko garstka, ale wszak i Almanzor ze swem rycerstwem, także bohater, doczekał się nie tylko zaszczytnej wzmianki w historii południowej Hiszpanji, ale nawet dostąpił niebyłego zaszczytu wstąpienia, że się tak wyrażę, do literatury polazjackiej, czy polazyjskiej, sam nie wiem.

Obóz nazwano „obozem Wielkiej Polski”, a nie wielkopolskim podobno dlatego, że jedna z najstarszych rodzin w naszym kraju, Wielopolscy, miała jakoby wnieść sprzeciw z powodu uderzającego podobieństwa nazwiska.

Otóż Pan Obóz Wielkiej (P. O. W.) polski przystąpił do ćwiczenia swych żołnierzy i przygotowania ich do walnej rozprawy, — która niedawno w naszych oczach rozegrała się i, niestety, — przyniosła sukcesom b. monopolu patryjotycznego, *nie bez bólu*, zasłużoną, choć spóźnioną i wręcz niedostateczną klęskę,

z powodu, jak wiadomo, że pospolite ruszenie w Polazji—spoczywa po zadaniu klęski wrogowi, na laurach.

Ponieważ przed rozstrzygającą bitwą wielu żołnierzy, nawet, jak mówią złe języki, całemi kompanjami przechodziło do wrogiego obozu, szerząc popłoch i panikę wśród pozostałych w szeregach b. monopolistów i szcurków, wypadło z gruntu zreformować resztki rozbitej armji, w której szeregach, niestety, dezercja przybrała katastrofalne rozmiary, a zatem, jak należało się spodziewać, rozpoczęto od zmiany nazwy.

Zmalała do jednego pułku, była niezwyciężona armja „narodowa” przyjęła, za zgodą, oczywiście, władz, nazwę: „stronnictwa narodowego”. Ponieważ ostatni przedstawiciel tego rodu zmarł bezpotomnie w 1919 roku, a stało się zadość wszelkim „wymogom”, związanym ze zmianą nazwiska, da Bóg w niezmierzonej cierpliwości swojej, że znów z rok lub dwa „stronnictwo narodowe”, risum teneatis amici, utrzyma swą nazwę, jeżeli wreszcie sprawiedliwy Bóg, nie powoła go wcześniej do tak zasłużonego spoczynku, na łonie Abrahama.

Załatwiwszy się z genealogją i heraldyką naszych monopolistów patriotyzmu nie wykrzykujemy „vae victis”, jak to czynili na pobojuwiskach starożytni

Rzymianie, albowiem jesteśmy od nich lepiej wychowani, a znęcanie się nad pokonanym wrogiem nie jest rzemiosłem rycerskiem — Polazja jest wszak również „rycerzem narodów”.

Natomiast, jako ludzie całkiem dobrze wychowani, poczuwamy się do oświadczenia, że na wypadek ubolewania niegodnej śmierci, t. zw. „stronnictwa narodowego”, poczuujemy się do obowiązku wzięcia udziału w uroczystościach pogrzebowych, nie uchylając się od dobrze zasłużonych nekrologów w organach naszej prasy, w których niewątpliwie zasługi dzisiejszego t. zw. „stronnictwa narodowego”, oraz jego antenatów, zasługi wykazane przy budowie, przebudowie i rozbudowie naszej państwowości zostaną sumiennie i należycie uwzględnione i ocenione..

Ponieważ mamy jednak obecnie z poważnie niedomagającą, ale jeszcze żywą osobą do czynienia, nie możemy sobie odmówić przyjemności, pobieżnego, niestety, dla braku czasu, lecz zato obiektywnego uprzytomnienia sobie głównych momentów (proszę nie mieszać z pojęciem warszawskiego organu mniejszościowego), momentów — powtarzam, pracy tej osoby prawnej, zarówno dla Polazji, jak również stosunkiem jej do autochtonów i swoich własnych adherentów, adjacjentów, sympatyków i apatyków.



Rozpoczęła się zatem budowa fundamentów państwa. Początek budowy wypadł nieźle, lecz wskutek gorączki głównego budowniczego, po feralnych trzy-nastu dniach pracy, odpędzono ND-robociarzy od pracy nad fundamentami, przyczem w międzyczasie południowa część „budować mającego się“, że tak powiem, gmachu, zajęta została przez lewicowe związki robotnicze, pod wodzą niejakiego Moraczewskiego, majstra, nasłanego, oczywiście, przez masonerję, przyczem dozorcę południowej części budowy, wyznaczonego przez głównego budowniczego, zamknięto na pewien czas w pewnej ubikacji. Ta bajka jest prawdziwsza od legendy o Popielu i myszkach.

Gwałty powyższe spowodowały w czasie przebiegu choroby wzmiankowanego głównego budowniczego, wydanie i ogłoszenie odezwy do ludności, podpisanej przez trzech najteższych majstrów budujących Polazję, w której, między innemi, celem uniknięcia t. zw. partyjnej licytacji z majstrami południowej części gmachu, — sponiewierano naszą Ojczyznę, dając jej demagogiczną, a pogardliwą nazwę:

„republiki ludowej“,

ponieważ rzeczp. polazjacka mogłaby nasuwać nieprzejeđnanym masom szczurów i nieszczurów myśli

o powrocie do rządów szlacheckich, nawiązanie do dawnej tradycji państwowej, a zwłaszcza mogła nieustannie grozić powrotem do pańszczyzny, o czym tu i ówdzie już przebąkiwano, a co wobec ówczesnej ciężkiej sytuacji finansowej Polazji przedstawiałoby poważne trudności, zwłaszcza wobec uchylania się systematycznego zgniłej Europy od finansowania podobnych, celowych wprawdzie, lecz zbyt kosztownych inwestycji.

Ówczesny wysoki urzędnik Prezydjum Rady Ministrów, p. X. opowiadał mi niedawno, jak, obudzony w nocy, z poleceniem wydrukowania tej osławionej odezwy, musiał zmagać się w swem sumieniu z koniecznością spełnienia obowiązku w stosunku do wydanego polecenia swej władzy z jednej strony, a miłością Ojczyzny i zdrowym rozsądkiem — z drugiej.

Zwyciężyło poczucie obowiązku i haniebny pierwszy rzetelnie demagogiczny krok w odrodzonej Polazji obwieścił radośnie światu monopolistów, że nareszcie koniec Rzeczypospolitej, a zacznie się republika, według recepty, którą wschodni wiatr z Jewrazji przyniósł i że koniec wreszcie narodowi, ponieważ odtąd lud będzie panował w myśl hasła: „Proletarji wsiech stran sojediniajties”. Lud, czyli po polsku proletarjat, t. j. ludzie, którzy narobili dużo dzieci

i nie mają ich z czego dostatecznie wyżywić i ubierać... Oto typowy przykład, co może przywiać wschodni wiatr, kiedy chce.

Ponieważ jednak w Polazji cuda są na porządku dziennym, a nie jak błędnie niektórzy twierdzą, był jeden cud nad Wisłą, zdrowy organizm noworodka przetrzymał ten chirurgiczny zabieg i okazało się, że operacja, dokonana w podziw wzbudzający sposób przez nasze sławy: ordynatora profesora Luftowskiego w asystencji Dr. Dr. Wiązowskiego i Salickiego — udała się i nie groziła poważniejszymi następstwami.

Po dokonaniu operacji, słynni chirurdzy przeszli pracować w państwowej „Omedze”, rozeszli się, oddając odtąd, praktyce lekarskiej, we własnych mieszkaniach, jak zwykle od 5-ej do 7-ej popoł.

Drogi czytelniku — Stańczyk nie umie kłamać i zaręczam Ci, że nigdy w ciągu mojego długiego żywota tak źle nie spałem, jak w ciągu trwania trzynastodniowego gabinetu Świeżyńskiego. Sen nie miał się moich powiek. To były najgorsze i najcięższe czasy, jakie przeżyłem. Już dawniej mawiano, że jest rzeczą wysoce niebezpieczną kłaść miecz w ręce szalonego. Tak jest, Drogi Czytelniku, tembardziej niebezpieczną, jeżeli w tem szaleństwie jest system.

Z dalszej działalności chlubnej t. zw. „Str. Na-

rodowego" należy podkreślić fakt, że jakkolwiek ówczesna ND. brała czynny udział w pracach Sejmu Konstytucyjnego i to w charakterze „prawicowego” stronnictwa, to jednak, pomimo finansowania jej poczynąń przez elementy zachowawcze, nie wystąpiła z inicjatywą wprowadzenia dwuizbowości w parlamencie polazjackim, nie chcąc się sprzeniewierzać uświęconym zasadom demagogji, która, będąc pochodzenia proletarjackiego i wychodząc z założenia oszczędnościowego, zadawała się jedną izbą.

W tym względzie wyreczyło ND. — Polskie Zjednoczenie Ludowe, które, jako stronnictwo chłopskie, kierowało się słusznie t. zw. chłopskim rozumem i postawiło na porządku dziennym kwestję dwóch izb, za co w tym miejscu składam hołd jego prowodyrom, ks. Kanonikowi Blizińskiemu, Leonowi Siemieńskiemu i Leopoldowi Skulskiemu — wprawdzie nie wybitnym chłopom, ale zato wybitnym patryjotom i zacnym polazjatom. Zresztą powiadają złe endeckie języki, że w tym wypadku kierowali się owi chłopci wyjątkowo nie interesom państwowym, lecz egoistycznymi poglądami na życie rodzinne polskiego chłopca, jako, że podobno w dwóch izbach wygodniej mieszkać, niż w jednej. Ja osobiście w tę plotkę nie wierzę.

Prawdziwy tryumf stronnictwo odniosło w spra-

wie reformy rolnej, która, jak powszechnie wiadomo, przyniosła zaszczyt jej twórcom, otworzyła poważne kredyty zagranicą naszego państwa (coś słyszałem o miliardzie dolarów, ale mam wrażenie, że cyfra ta jest cokolwiek przesadzona), oraz zamieniła kraj nasz, dotąd polazjacką pustynię, nazajutrz po ogłoszeniu wzmiankowanej błogosławionej reformy w „Dzienniku Ustaw“, w krainę mlekiem i miodem płynącą, w porównaniu z którą, zarówno starożytny Egipt, jak i nowożytna Kalifornja poszły, że tak powiem, w ką.

Ponieważ jeden z leaderów ND. z zapalem, godnym wielkiej sprawy, w długim i pięknie opracowanym przemówieniu, twierdził na podstawie poważnych, a nadprzyrodzonych źródeł, o ile mi wiadomo z dziedziny metafizyki i neookultyzmu, że miał objawienie, iż świat cały dotąd pozostawał w błędzie, opierając się na gruncie świętości własności prywatnej, że natomiast uświęcić należy i to jaknajrychlej wywłaszczenie, nic dziwnego, że reforma rolna, która, jak już to wyżej zaznaczyłem, zamieniła zupełnie, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, ubogą naszą Ojczyznę w prawdzie Eldorado, przeszła *jednogłośnie* wśród niebywałego entuzjazmu całej izby poselskiej, przyczem najwięcej wrzawy i hałasu, wbrew doniesieniom pism wieczornych, wydawała nie Bogu ducha

winna lewica, lecz wojownicza „prawica“, zadowolona z jednogłośnego załatwienia tak ważnej i doniosłej dla całego kraju sprawy, ze zwycięstwa objawień neokultystycznych swego odtąd ubóstwianego lidera, a zwłaszcza, że pieniądze nie poszły na marne, jako, że składki, płacone przez ziemian z morgi na cele partyjne i wyborcze Narodowej Demokracji — zostały jaknajbardziej celowo użyte. Będą one odtąd po wieczne czasy przynosiły wysoki procent, pomimo gróźb kodeksu cywilnego w stosunku do osób i instytucyj, uprawiających lichwę. Tu się dopiero w całej pełni uwidoczniła potęga kapitału, zgodność jednomyślna prawie ziemiaństwa w Polazji w dążeniu do postępu i kultury na drodze zamiany Polazji na Eldorado, wreszcie niesłychany wprost instynkt samozachowawczy, który losy ziemiaństwa złożył w tak wypróbowane dłonie przewodników zasłużonej Endecji.

Że po pewnym czasie jednak, Związek Ziemian, którego Zarząd spoczywał w rękach wrogich Narodowej Demokracji, wyłączył ze swego grona wzmiankowanego lidera, tłumaczy się wyłącznie nienawiścią partyjną w stosunku do Narodowej Demokracji, chęcią użycia tak świetnie ulokowanych przez Ziemian kapitałów w swem przedsiębiorstwie, być może, połączonem z korzyściami osobistemi władz Związku, choć

nie śmiano ich o to posądzić, — wreszcie ideologia konserwatyzmu, wzbraniająca ludziom zgromowanym w ówczesnej partji, skostniałym w swych, odziedziczonych po przodkach tradycjach, iść z postępem czasu, jako, że niektórzy z nich do tej pory w swoich majątkach stosują do orki staropolskie sochy, gardząc szatańskim wymysłem t. zw. pługą.

Ponieważ, jak mówią, oliwa na wierzch wypływa, zwołano Walne Zgromadzenie Związku Ziemian i usunięto z Zarządu opornych konserwatystów, aby sprawiedliwości stało się wreszcie zadość.

Doprawdy nie śmiem dłużej nużyć i nadużywać cierpliwości Szanownego mego czytelnika, muszę jednak przytoczyć pewien incydent z moich przeżyć osobistych, stwierdzający czarno na białem o wrodzonym poczuciu sprawiedliwości prowodyrów NDecji—wypróbowanem na mnie osobiście, kiedy, mea culpa, zgrzeszyłem w następujących okolicznościach.

Gdy zwąchawszy się, że tak powiem, z Niemcami, którzy podówczas kraj nasz okupowali, kierowany jedynie i wyłącznie chęcią wprowadzenia za wszelką cenę na tron Polazji jednego z synów byłego Reise-Kaisera, a obecnego Drwala z Dorn, zostałem przez okupantów austriackich powołany do Tymczasowej

Rady Stanu, słusznie i sprawiedliwie zostałem za mój wybitny germanofilizm, połączony, być może, z korzyściami natury materialnej, ukarany przez usunięcie niezwłoczne ze stanowisk, zajmowanych przeze mnie w instytucjach społecznych ziemiańskich, jako to Prezesa Związku Ziemian, którego byłem inicjatorem, założycielem i organizatorem, Członka Zarządu Syndykatu Rolniczego i wielu, wielu innych.

W ten sposób i sprawiedliwości stało się zadość—bowiem niewolno mieć odmiennych przekonań politycznych od „Twórców Niepodległości” państwa polazjackiego, złączonych w Narodowej Demokracji, no i otworzyło się kilka mniej lub więcej lukratywnych posad dla „swoich ludzi”, wreszcie, w myśl ostatnich odkryć w lecznictwie, część organizmu, owładniętą, trądem, żelazem wypalać należy. Ta akcja ND. odnośnie mojej osoby, uratowała Polazję od założenia podwalin monarchji konstytucyjnej do spółki z Niemcami, co, ze szczególną wdzięcznością, podkreślić należy.

Te i tym podobne wiatry i wiatarki wschodnie, praktykowane na najszerszą skalę, zdawałoby się, powinny były niejednokrotnie wzruszyć podstawami państwa naszego, — okazuje się jednak, że „Pan Bóg jest lepszym Polakiem od nas samych”, i pozwolił

nam dotrwać do dnia dzisiejszego, pomimo, że naprawdę w kraju robiło się zawsze i nieraz jeszcze robi w myśl lapidarnej sentencji znanego wszystkim z dobroduszości Stasia: „Jeżeli Mamusia nie da mi cukierka, to pójdę na dwór odmrozić sobie uszy”.

Tyle słów o niesławnej pamięci Narodowej Demokracji.

Ważnym wiatrem od wschodu, jest t. zw. Tajfun — wicher żywiołowy, przynoszący ze sobą katastrofy i zniszczenie. Ten nasz wiatr-bohater, którego mitologiczne pochodzenie nie bez trudności da się ustalić, jest, jak mówią złośliwi, jakoby produktem konkubinatu pomiędzy pewnym brodiągą jewrazyjskim — imieniem Anarchion, a NDecją, skromną polską dziewczicą. Ten owoc nieślubnej miłości od zarania swej egzystencji kierował się zasadami i ideami najwschodniejszemi.

Aczkolwiek intryga, zapewne masońska, kazała mu studjować nauki polityczne i ekonomiczne na krańcowym zachodzie, to jednak szybko otrząsł się z tych naleciałości „gniławo zapada”, poszedł do Dumy Państwowej Jewrazyjskiej i gromkim głosem wołał, a drobną rączką pisał: „ziemia i wola”.

W tem miejscu nie chciałbym być źle zrozumianym. Bohater nasz nie jest wynalazcą tego szczyt-

nego hasła, które, — jak wiadomo, spowodowało w sąsiedniej Jewrazji katastrofalną nadprodukcję zboża, z którą ani stare, ani nowe Nepy narazie nie mogą sobie dać rady, słyszę, że w ostatnich czasach zorganizowano pochody do wielkich miast gromad walśających się dzieci, których zadaniem i obowiązkiem jest, za odpowiednią oczywiście opłatą, systematyczne niszczenie kolosalnych nadmiarów jewrazyjskiej produkcji zbożowej, nie mieszczącej się w olbrzymich magazynach i wprost leżącej w zwałach na ulicach jewrazyjskich stolic.

Hasło to zasiane zostało w duszę normalnego eurażjaty z siewnika kombinowanego, znanego systemu naplewatielsko-kadeckiego, pochodzącego z fabryki Tołstoja, Dostojewskiego, Gorkija i S-ki, wyrabianego we wszystkich ośrodkach przemysłowych Eurazji, po cenach konkurencyjnych. To zbożne nasienie zakiełkowało w duszach chłopów i robotników przy pomocy licznych ideoidjotów, będących na nieświadomym żołdzie żydowstwa (stąd nazwa Jewrazja — Azja dla Jewrejów), a jak mówią wtajemniczeni endecy — masonerji.

Prawda zapewne leży po środku i dlatego suponuję, że idee wzmiankowane zarówno chłopów i robot-

nicy jewrazyjscy, podobnie jak była inteligencja, wyszali wraz z kumysem z piersi ich matek.

Otóż idąc w ślad swych ideowych poprzedników, bohater nasz, rzucał na prawo i na lewo w piśmie i słowie hasła zdrowodemagogiczne wywłaszczenia większej własności, lecz, niewdzięczna ówczesna ojczyzna Jewrazja — pozostała głuchą na wezwania naszego bohatera z powodu niskiego stopnia kultury i uświadczenia szerokich mas tambylczej ludności.

Nawiasem mówiąc, niejaki Kiereński, który, jak panom z histerji powszechnej wiadomo, chciał przegadać całą Jewrazję, co mu się do pewnego stopnia udało, a zwłaszcza dopiero zaplombowana spółka Lenin-Trockij zaprowadziła w naszym najbliższem, a bardzo nam miłym, zwłaszcza po podpisaniu paktu Kellogga sąsiedztwie, jaki taki porządek, aby się stało zadość wielkiej idei, która znalazła w naszym bohaterze gorącego i utalentowanego obrońcę. Bohater nasz jednak nie ustawał w pracy dla wielkiej idei. Powołany na stanowisko ministra rolnictwa w świetlanej pamięci trzynastodniowym gabinecie (*chambre séparée*) Imép. Józefa Świeżyńskiego, już w drugim dniu jego żywota (nie Świeżyńskiego, lecz gabinetu), nieproszony i niepytany zapowiedział mi osobiście w przedsionku C. T. R., Kopernika 30, energiczną

swą inicjatywę w kierunku wprowadzenia w życie na naszym gruncie dobroczynnej idei wschodu „ziemia i wola” przy pomocy powierzonego sobie słusznie t. zw. resortu, temi słowy: „Teraz nareszcie dobierzemy się do was, będziemy wywłaszczać jak się patrzy. I patrzyło się, chwała Bogu, ponieważ jeszcze resztką wzroku pozostała, pomimo heroicznych endeckich wysiłków oślepienia i ogłuszania ziemian, rzecz prosta, dla ich własnego dobra. Ale ponieważ masoneria nie śpi, jako że nie jest istotą żyjącą, więc płatała różne psie figle i naszemu bohaterowi i jego młodej matce, polskiej dziewczyci NDecji, tak, że, niestety, dotąd w Polazji raju na ziemi jeszcze niema i na nie-szczęście, hasło „ziemia i wola”, jak było tak pozostało tylko pustym dźwiękiem.

Niezrażony niepowodzeniami bohater nasz zgłasza się do nowej pracy, nieustannie bowiem pracować musi dla dobra nowej ojczyzny Polazji, jako że jest dobrym jej synem. Wybrawszy sobie, po głębokim namyśle, tekę ministra skarbu, ponieważ była najobficiej zaopatrzoną w miljardy ówczesnych papierków, zdaniem mojem, całkiem słusznie nazywanych banknotami lub monetą, przystępuje z zimną krwią, a, jak nawet mówią masoni, z cynizmem, do zastosowania najnowszych, wschodnich metod wiwisekcji na żywym

organizmie Ojczyzny — matki Polazji, operując ją nieustannie dla jej dobra, celem wypróbowania wszelkich możliwych i niemożliwych zabiegów, kończących się dzięki polazjackiemu patriotyzmowi Pana Boga z jednej strony, a dziwnej wytrzymałości organizmu pacjentki z drugiej, względnie dobrze, to znaczy, że chora pozostała przy życiu, tylko wyjechała na wózku z sali operacyjnej niesłychanie osłabiona, prawdopodobnie z powodu zbyt wielkiego, wprost nadmiernego upływu krwi.

Ktoś z dobrych moich znajomych, który świetnie zna stosunki panujące w Północnej Ameryce z opowiadania naocznych świadków i powieści podróżniczych oraz cowboyskich, zresztą zaszczytnie znany kinoman, odważył się na następujące powiedzenie: „Aczkolwiek Stany Zjednoczone są półdzikim krajem w porównaniu z naszą Polazją, — zarówno z powodu atawistycznej niechęci do wszelkiego postępu ze strony potomków już zanikającej rasy, jak również z powodu orgjastycznych nadużyć płciowych i alkoholicznych, spowodowanych, jak wiadomo, ingerencją państwa w dziedzinę gardła i żołądka obywateli, co się nazywa w narzeczu tambylczych irokezów prohibicjonizmem, a po polazjacku idjotyzmem, oraz inwazją nowych ludzi, przybyszów ze zgniłej Europy, z któ-

rych tylko nieliczni szczęśliwcy nie są miliardami, co im niewątpliwie ułatwi dostanie się po dokonaniu ziemskiego żywota, do Królestwa Niebieskiego, zwłaszcza wobec znanego systemu protekcyjnego tamtejszego Odźwiernego, to jednak pomimo wszystko, a może właśnie dlatego wszystkiego, dzikusy czerwonoskóre, widząc swą matkę, torturowaną przez podobnego do naszego bohatera, wiwisektora, nie oparowałyby swoich dzikich i pierwotnych instynktów i zastosowałyby, bez wątpienia popularny w Stanach Zjednoczonych lynch, czyli samosąd, t. zw. Lex Lynchii, uchwalony swego czasu, nie pomnę jednak daty, na kongresie w Waszyngtonie, jednogłośnie, zgodnie z obowiązującą konstytucją i „wymogami” natury prawnej.

Że zaś mieszkańcy Polazji, nie pochodzą, „niestety” od czerwonoskórych, wprost przeciwnie nawet, zamiast dawnego, przestarzałego „krew nie woda” wyznają obecnie nągminnie „woda nie krew” — nikomu nie przyszło nawet poważnie do głowy, aby szaleństwa naszego bohatera we właściwy naszej narodowej flegmie sposób, ukrócić i w ten sposób jesteśmy świadkami, nie wiem już którego z kolei cudu zanurzenia przez polazjackie społeczeństwo główki w piasek, co podobno w analogicznych wypadkach, pokre-

wne nam, a spotykane w południowej Afryce strusie, wyczyniają.

Że ten i ów stracił ćwierć, połowę, trzy czwarte, całość, a nawet pięć czwartych swego majątku, coś to może społeczeństwo obchodzić, wszak „wolność Tomku w swoim domku”.

Jako przedstawiciel pierwszorzędnie zorganizowanych — byłych właścicieli, całkowicie straconych majątków, zostałem upoważniony przez moich mocodawców do złożenia na tem miejscu współpracownikom byłego Ministra Skarbu podziękowania za to, że z powodu patriotyzmu polazjackiego, nie kontentowali się 100% podatkiem majątkowym, lecz jeszcze dodali nam 367%, tak, na wszelki wypadek, gdyby interes miał stanąć. Tu opiszę interesującą moją osobistą sytuację.

Curiosum polega na tem, że po stracie całego nieruchomego i ruchomego majątku, wynoszącego podobnie wg. bilansu na dzień 1 lipca 1924 r. — netto 473.000 w walucie czerwonoskórych, w tej chwili jestem posiadaczem jedynie ulokowanej w 8% listach zastawnych „Banku Gospodarstwa Krajowego” właśnie tej sumy, która stanowi ów 367% dodatek do podatku majątkowego, a od której to sumy mam prawo w dniach 30-go czerwca i 31 grudnia każdego roku

obcinać kupony i robić z nimi co mi się żywnie podobą.

W ten sposób przewidujący wielogłowy prawodawca dał mi do zrozumienia, że trzeba kierować się w życiu nietyłką pracą, ale i oszczędnością.

Ponieważ uważam się za człowieka dość inteligentnego, uchwyciłem się, jak to mówią „rękamy i nogamy” tej życzliwej rady naszych przyjaciół z ul. Wiejskiej i to co obecnie posiadam, dzięki naszemu bohaterowi, wynosi akurat tyle, aby móc powiedzieć, że mam za mało, aby żyć, a za dużo, aby umrzeć. W tem miejscu składam hołd naszemu bohaterowi, tajfunowi, oraz naszym „wiejskim” prawodawcom, bowiem gdyby nie oni, przestałbym już prawdopodobnie żyć, co znaczy w języku polazjackim — „używać życia”.

Oddawszy tak w tej wycieczce osobistej co cesarskiego — cesarzowi, a co boskiego — Bogu, przejdźmy już wreszcie nad naszym bohaterem — tajfunem do porządku dziennego w obawie, — ażeby nie zechciał, wobec naszych hymnów pochwalnych, wyciągnąć do nas swej małej, oślizgłej dłoni do szczerzego i serdecznego uścisku.

Ponieważ, jak się okazuje, któryś z przodków naszego bohatera nie miał tak pożądanego dziś powodze-

nia w tańcu, musimy się pocieszać faktem, że jego potomek miał powodzenie zarówno w realizowaniu wszystkich wschodnich haseł jak i promowaniu swych kolegów — ziemian do Królestwa Niebieskiego, przy praktycznem zastosowaniu sentencji, o uchu igielnem i bogaczu, którą zapewne przypomina sobie Szanowny Czytelnik, z nauki szkolnej Pisma Świętego, w swych latach dziecięcych.

Ażeby zaś talenty tych rozmiarów nie ginęły dla potomności, co się podobno często w Polazji „wielkim ludziom“ zdarza i wpływały kształcąco i rozwijająco na umysły młodzieży ziemiańskiej, powołano naszego bohatera — tajfuna na stanowisko profesora i rektora Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego, na którym to stanowisku życzymy mu z całego serca powodzenia, przewidując, że po dokonaniu „żywota człowieka poczciwego“ wdzięczna ojczyzna „ziemiańska“ (Karol Albrecht i S-ka, Mazowiecka 12), wpłynie na Magistrat, aby postarał się w najkrótszym czasie o zmianę nazwy drugiego Placu Saskiego, conajmniej dwoma głosami większości, w Radzie Miejskiej na plac Wielkiego Tajfuna, polazjackiego herostrata, którego, jak Szanownemu czytelnikowi wiadomo, niewdzięczna własna ojczyzna ukamienowała, aby mu ułatwić powiększenie grona mitologicznych świętych

i łatwe przejście do historii starożytnej. Obaj zatem ci wybitni mężowie przejdą do historii, a nasz bohater-tajfun będzie walczył o pierwszeństwo odnośnie wielkości i doniosłości oddanych państwu zasług w historii polazjackiego narodu z wielce zasłużonym i przewidyjącym mężem stanu, rzeczywiście na modłę europejską, ś. p. Konradem III Mazowieckim, który, celem szerzenia cywilizacji wśród tubylców „wypisał” i sprowadził z zagranicy bez cła t. zw. podówczas krzyżaków, mieszczących się obecnie między innymi i na t. zw. polskim korytarzu, ponieważ we własnym mieszkaniu jest im obecnie za ciasno, gdyż rozmnażali się jak te króliki, o czym wspominał swego czasu ich przedstawiciel w mowie, którą „trzymał” na zamku w Malbogu.

W międzyczasie, aby nie było nudno, rozpoczęła się dzika sarabanda. Rataje, fornale i inni parobcy zachcieli nie tylko rządzić Polazją, ale wogóle dojść do fortuny.

W tym celu wysunęli współczesnego Petronjusza, mocno konkurującego z księciem Walji, magistra elegantiarum, niejakiego Wincentego Witosa z Wierzchosławic, który, zachęcony do tego kroku przez swych przyjaciół z obozu Narodowo-Demokratycznego, wychodząc z założenia, że krawat jest zbyt dużą częścią

garderoby u ludzi spełniających władzę rządu w kraju polazjackim, podniósł do tego stopnia nasz prestige i autorytet poza granicami państwa na tak zw. zgniłym zachodzie, że pisma ilustrowane zamieszczały przez szereg tygodni fotografie naszego premiera, z których wynika, jak na dłoni, że używanie krawatów przez mężów stanu, jest poprostu ordynarnym masonskim wymysłem, wielce szkodliwym dla rządzanego spolsztwa. Artykuły pochwalne, pełne uwielbienia dla naszego premiera, zaznaczały pokrewieństwo naszego bohatera z byłym dygnitarzem starogreckim, Djogenesem, podkreślając w ten sposób starożytność rodu Witosów.

Wincenty Witos wprawdzie nie urodził się (non est natus), ale za to przyszedł na świat w mało-polskich Wierchosławicach i jest obecnie podobno posessionatus.

Drogi, jakimi w tym czasie chadzali koledzy i przyjaciele ówczesnego premiera, są różne, jednakże jakoby niema ani jednej prostej, wszak każda droga prowadzi do karczmy, bez względu na to, czy ona się Rzymem nazywa (vide Mickiewicz — Pan Twardowski), a fortuny, jakich się wówczas dorabiali świadczą wymownie nietylko o korzyściach ze skomercjonalizowania patryotyzmu, ale również o zdolno-

ściach handlowo-przemysłowych, które, kierując się swym niezawodnym chłopskim rozumem wyssali z piersi swych matek, ponieważ mamki w tej sferze już dawno były wyszły z użycia i zastosowania.

Incydentalnie miałem możność przekonać się osobiście o subtelnem uczuciu patriotycznym jednego z korników, t. zw. Wielkiego Kornika (nazwa łac. *Cornicus magnus devastans*). A miało to miejsce w następujących okolicznościach: W przystępie pewnego rodzaju optymizmu, udałem się do Małej Polski, gdzie pod Przemyślem, w Ustrzykach Dolnych były do przejęcia cztery tartaki o 11 trakach, wraz z umowami eksploatacyjnymi okolicznych lasów państwowych.

Niestety nie mam odpisu umowy pomiędzy Departamentem Leśnym M. R. i D. R. z jednej, a niejakim Osińskim, byłym zwrotniczym w Stanisławowskiej Dyrekcji Kolejowej z drugiej strony. Umowa ta — ułożona na 28 bitych stronicach maszynowego pisma formatu aktowego została ongiś, za dawnych dobrych czasów, zredagowana osobiście przez Wielkiego Kornika, kosztem trzechtygodniowej pracy, zło-biącej intensywnie korę „drewna” państwowego. Wśród stu kilkudziesięciu punktów umowy, wszystkie

nieomal zredagowane są na korzyść b. zwrotniczego Osińskiego.

I słusznie. Któżby bowiem stanął w obronie biednego małego polskiego, ale zato bardzo sprytnego Osińskiego w ewentualnem starciu z Molochem państwowym, dysponującym tak liczną i świetnie wyćwiczoną armją.

Interesu w Ustrzykach nie zrobiłem jedynie dlatego, że umowa została niesłusznie, mojem zdaniem, z krzywdą dla Osińskiego zmienioną i przeredagowaną po politycznej śmierci, świetlanej pamięci Wielkiego Kornika (*Cornicus Magnus devastans*). Cześć jego pamięci.

Podobny Kornik (*Cornicus parvus interior*), który z mlekiem matki wyssał odziedziczoną przez szereg pańszczyźnianych antenatów żyłkę myśliwską, w nagance zapoznawszy się dokładnie z niszczeniem lasów, powziął myśl urządzenia polowania na ludzi, wobec złego zwierzostanu w Polazji. Zorganizował zatem na ulicach stołecznego miasta Krakowa — polowanie w t. zw. kocioł na oficerów i żołnierzy 8-o pułku ułanów, którego to polowania obfity rezultat został ogłoszony, *antiquo modo*, w rubryce z „życia towarzyskiego” przez inicjatora polowania. Oczywiście królem polowania okrzyknięto miłego gospoda-

rza, — że zaś w Polazji wszystkie urzędy wykazują poważne braki, za wyjątkiem instytucji sądów, słuszność powyższego twierdzenia została podówczas ponownie stwierdzona i to czarno na białem, przez werdykt krakowskiego sądu przysięgłych, który wychodząc z założenia, że bliższe majtki ciała, niż koszula, — uwolnił wszystkich myśliwych i naganę od wszelkiej odpowiedzialności tak cywilnej, jak karnej w myśl zasady „*volenti non fit iniuria*“.

Te i tym podobne dojlidzkie afery potomków słynnego w Polazji swego czasu „dzielnego w swym zawodzie“ kołodzieja Piasta, który, również był niekoronowanym królem polazjackim, doprowadziły do pewnego rodzaju przesilenia państwowego, zakończonego, jak już wyżej wspomniałem „bez bólu“ zwycięstwem znanego nam już, organizatora majówek na ulicach Warszawy w 1926 roku.

Witos w popłochu, zaledwie zdążył zabrać z Prezydjum Rady Ministrów swe widły i powędrował drogą na Wilanów do ukochanych rodzinnych swych Wierzchosławic, gdzie, jak słyszałem, w pocie czoła pracuje nad uprawą swego znacznie pomniejszonego wskutek reformy rolnej 6-morgowego gospodarstwa i rozmyśla nad znikomością tego świata, kiwając palcem w swych długich butach i powtarzając

zastyszane kiedyś od sąsiedniego proboszcza niezrozumiały, zarówno dla niego, jak i dla mnie, słowa: „*vanitas vanitatum et omnia vanitas*“ z uporem manjaka, kiwając przytem smętnie główką i zerkając raz w prawo, raz w lewo.

Ponieważ zbliżam się ku końcowi mej opowieści i wyczuwam radość malującą się z tego powodu na szlachetnem obliczu mojego cierpliwego czytelnika, uważam, że należy poświęcić jeszcze słów kilka ostatniemu z wiatrów wschodu, zwanemu „halnym“ jako, że grasował często w Zakopanem, skąd pochodzi fotografia naszego bohatera wyróżniającego się rasową pozycją piętą, o ile się nie mylę, w języku choreografji.

Człowiek ten hołdował idei kooperatywizmu, w wolnych chwilach odważał skrupulatnie pieprz, cynamon i rodzyunki w Związku Stowarzyszeń Spożywczych i dłubał palcem w nosie własnym.

Kiedy w roku 1912, jako ówczesny Prezes Okręgowego Towarzystwa Rolniczego w Mińsku Mazowieckim, poprosiłem już podówczas słynnego kooperatystę, a później główkę Państwa Polazjackiego, aby zechciał wygłosić na Walnem Zgromadzeniu wzmiankowanego Towarzystwa odczyt na temat rozwoju stowarzyszeń spożywczych w Polazji, chętnie się na to

zgodził, — przyjechał, wygłosił świetnie przygotowany referat, lecz wierny wschodnim ideom, zakończył go wezwaniem obecnych na zebraniu miejscowych włościan, a członków mojego Towarzystwa Rolniczego, aby zerwali z pańszczyźnianym systemem współpracy zgodnej we wszystkich kierunkach, zarówno włościan. jak księży i t. zw. rolników, podówczas zwanych „ziemianami”.

Wyraz powszechnego oburzenia zebranych na sali włościan dał dzielny i uczciwy chłop i polazjata, Kazimierz Antosiewicz z Bestwin, gm. Siennica, pow. Mińskiego Mazowieckiego, który, poprosiwszy mnie o głos, jako przewodniczącego, zapowiedział prelegentowi w grzecznych słowach, aby na przyszłość nie ważył się przyjeżdżać do Mińska Mazowieckiego z podobnymi propozycjami, gdyż może się spotkać z kontrpropozycją, popartą rękoczynami.

Burza oklasków chłopskich, jaka powstała po przemówieniu wzmiankowanego Antosiewicza, dowodzi jedynie, że do mego Okręgu podówczas nie dotarły były podmuchy wschodniego wiatru, niosącego prawdziwy i rzetelny powiew wschodniej cywilizacji i kultury, tak niepopularnej podówczas wśród moich kolegów-chłopów w Okręgu Mińsko-Mazowieckim,

z powodu ich ówczesnej wyjątkowej ciemnoty i niechęci do wszelkiego postępu.

Ponieważ patenty Reise-Kaisera i Kiereńskija na gadanie podówczas już były wygasły, mógł śmiało nasz bohater bez narażenia się na procesy i ich opłakane skutki, jeździć od miasta do miasteczka i wygłaszać pełne kooperatywno - patryjotycznych frazesów mowy.

Karjera ta, tak pięknie, jak widzimy rozpoczęta, rychło została przerwana majówką 1926 r., gdzie czcigodny starzec, piastujący najwyższą godność w Państwie polazjackiem, pomimo swej przysięgi, z honorem ustąpił w sposób męski i odważny z zajmowanej przez siebie posady w kooperatywie społeczności polazjackiej, pomimo historycznych spotkań na moście św. Józefa.

Za ten bohaterski czyn, spowodowany nie tyle miłością własną, ile niepohamowaną odwagą, cześć i jego pamięci. Wdzięczny lud powołał go na stanowisko profesora w Wyższej Szkole Handlowej, aby tam w dalszym ciągu mógł spokojnie propagować dobroczynne idee wiatru od wschodu wśród kandydatów na przyszłych pionierów nowopolskiego kupiectwa. W Polazji mówi się „nie popał w sienatory”, lecz „popał w prafiesory”.

Zbliżamy się już ku końcowi opowieści, pragnąłbym nie nadużywać cierpliwości Drogiego Czytelnika, wrodzona jednak gadatliwość nie pozwala mi zakończyć tego opowiadania bez kilku słów pożegnania — w cokolwiek odmiennym tonie i stylu.

Choć nieraz wysmialiśmy się, smutne to jednak Drogi Czytelniku, przedewszystkiem dlatego smutne, że terenem działalności moich bohaterów nie była Polazja, tylko nasza Polska Ukochana, a tak już przez cały nasz Ogół obojętnie traktowana, jakgdyby nie matką, lecz macochą nam była.

Sursum corda — wznieśmy serca — odwróćmy na chwilę wzrok od wschodniej zarazy i spojrzymy, co się dzieje w słonecznej Italji. Tamtejszy premier, genialny Benito, kontynuator swych, godnych wielkiej sławy, odległych poprzedników ze złotego wieku wspaniałej Romy, choć na podobieństwo naszego byłego premjera, — skromny syn kowalski, i podobnie jak on wychowany w powietrzu międzynarodowem, rozpoczyna i prowadzi dzieło, które niewątpliwie da mu jedną z najpiękniejszych i najpocześniejszych kart w historji nowej Italji.

Silny ten mąż stanu odpuć na długie lata, a co daj Boże, na zawsze od swej pięknej Ojczyzny owe wiatry wschodnie, nakazuje ustąpić cieniowi na rzecz światła, złu na rzecz dobra, barbarzyństwu na rzecz cywilizacji, Azji na rzecz Europy, Antychrystowi — na rzecz Chrystusa.

Ukoronowaniem rozpoczętego przezeń dzieła, jest przejmujący do głębi serca każdego dobrego katolika fakt pojednania w starożytnym Rzymie w obliczu całego cywilizowanego świata dwóch największych potęg Ducha: potęgi religji i jej córy, potęgi ideałów cywilizacji zachodniej, pojednania dokonanego przez dwóch imponujących i najbardziej wartościowych mężów współczesnego świata, dobrze nam znanego Wielkiego i wypróbowanego przyjaciela naszego, byłego Nuncjusza, a obecnego Ojca Świętego Piusa XI-go, oraz wspomnianego Ojca Ojczyzny Włochów i chlubę włoskiego narodu, Benvenuto Mussoliniego.

Temu czynowi pokoju i klasycznemu przykładowi dla następnych pokoleń: jak wielcy i uczciwi ludzie potrafiać tworzyć historję dobra ludzkości i cywilizacji hołd oddać należy.

Czy nam potrzeba Mussoliniego? Myślę, że nie — wszak doprawdy my, polacy, jesteśmy rzeczywiście przez Boga wybranym narodem, najlepszym elemen-

tem na poddanych, czy też obywateli państwa. Samowystarczalność ludzka w Polsce jest poprostu zdumiewająca, brak nam tylko, jako noworodkowi państwowemu dobrej organizacji i rutyny państwowej, której z czasem niewątpliwie nabierzemy no i brak nam oczywiście tego, co Anglik nazywa „the right man on the right place”. A ten człowiek, któremu poświęciłem pierwszy ustęp mojego odczytu ma wszelkie możliwości w kierunku zamiany dotychczasowej Polazji na wymarzoną przez nas promienną Polskę i od niego w dużej mierze zależy przyspieszenie w Ojczyźnie naszej zwycięstwa światła nad cieniem, dobra nad złem, Europy nad Azją. Dziś również przed naszym Cezarem... *alea jacta est* — historyczny powtarzający się dylemat. Trzeba wybierać...

Sądzę, że choć w części udało mi się w mem opowiadaniu udowodnić moją tezę, założenie, z którego wyszedłem, że główną przyczyną słabości Państwa Polskiego, jest ów wiatr od Wschodu. Jeżeli tak jest istotnie, jeżeli się nie mylę, należy nam wyciągnąć wnioski. Mamy nie tylko prawo, ale i obowiązek być dobrymi synami naszej Ojczyzny Matki, już choćby dlatego, aby następne pokolenia nie rzuciły na nas usprawiedliwionej klątwy za zmarnowanie najdroższego daru Bożego, a przy pomocy opiekunki tej na-

szej Matki, a Matki Bożej, Królowej Korony Polskiej, mgła wschodnia, która nas gęstym całunem otacza, zacznie się rozwiewać i nareszcie przez jej ostatnie opary, ujrzymy kiedyś blask promieni słonecznych na Zachodzie.

Lecz jako dobrym synom Ojczyzny nie wolno nam stać bezczynnie z założonemi rękami i przyglądać się mniej lub więcej obojętnie w wygodnej roli obserwatorów, jak znęcają się nad naszą Matką, musimy spełniając sumiennie każdy swój obowiązek i dążąc ze wszystkich sił do zapanowania światła nad cieniem w naszym kraju, pomóc cokolwiek Najświętszej Pannie, aby w myśl lapidarnego przysłowia, zaczerpniętego z łaciny, a brzmiącego „*Quisque est faber suae fortunae*“, móc choć w części przyczynić się do zapanowania ładu, porządku i sprawiedliwości w Ojczyźnie, przywróconej nam jedynie i wyłącznie dzięki niezmierzonej łasce Przedwiecznego.

„*Ex Oriente Lux*“. Z tem hasłem należy raz na zawsze zerwać — wszak rzeczywiście ze Wschodu otrzymywaliśmy nietylko dobre i smaczne artykuły, jak jabłka krymskie, kawior, kalosze i samowary, ale i złe, jak cholereę, dżumę i wreszcie: „griaduszczawo chama“.

Kończąc swe opowiadanie, wyrażam gorące ży-

czenie, ażeby Drogi mój Czytelnik uświadomił sobie dokładnie, że jedynym czynnikiem, który skłonił Stańczyka do napisania tego opowiadania, była chęć, choć w tak skromnej mierze, przysłużenia się najdroższej naszej Ojczyźnie, w której przez 10 lat był on wygodnym obserwatorem oraz chęć przyłożenia choć jednej małej cegiełki do budowy w sercach naszych olbrzymiego i wspaniałego gmachu, który nosi nazwę „Miłości Ojczyzny“, a którego fronton ozdobiłby napis, będący dotąd tandetnym szyldem w jaskini brudów politycznych, przy ulicy Wiejskiej, a który brzmi:

„Salus Reipublicae suprema lex esto“.



CENA TRZY ZŁOTE